Cena 20 groszy

DZWONKI

PISMO DLA DZIECI
NIŻSZYCH KLAS SZKÓŁ POWSZECHNYCH



WARSZAWA 1 1 WRZEŚNIA
ROK 2 1938

ZACZYNAMY NOWY ROK SZKOLNY!

— Czemu dzwonisz, dzwonie, czemu
na mnie wołasz?
Czy już może późno, czy już czas do szkoły?

— Do szkoły za wcześnie, ale ciebie wołam,
bo już wszystkie dzieci idą do kościoła.

— I ja pójdę prędko! Klęknę, ręce złożę
i o Twą opiekę poproszę Cię, Boże.

My się w nowym roku pięknie postaramy,
lecz Ty, Matko Święta, opiekuj się nami!

EWA GETKO



Hanusia poszła po raz pierwszy do szkoły. Trochę się bała. Sama wśród obcych ludzi! Ani mamy, ani tatusia, ani siostry. Tylko nieznajoma pani, nieznajome dziewczynki i nieznane sprzęty.

Duża czarna kreska wyglądała groźnie z kąta. Jakaś niebieska kula stała na półce. Obok patrzyły szklanymi oczkami nieruchome, kosmate zwierzaczki. Hanusia nie wiedziała, czy wejść do klasy, czy lepiej uciec.

Ale w tej chwili podbiegła do niej jakaś dziewczynka i wzięła ją za rękę.



— Nazywam się Marysia — powiedziała. — Ty byłaś chora i dlatego nie przyszłaś od razu z nami, prawda? To nic. Koło mnie jest puste miejsce. Jeżeli chcesz, to będziemy siedziały razem. Poproszę panią.

Hanusia tylko skinęła głową. Jakoś nie mogła głosu wydobyć.

Marysia poprowadziła ją do ławki.

— Niczego się nie bój! U nas jest bardzo wesoło, zobaczysz. Ja też z początku się trochę bałam. A teraz lubię naszą szkołę.

— Lubisz? — spytała zdziwiona Hanusia.

— Bo nasza pani jest strasznie dobra. A dziewczynki są bardzo miłe.

Więc Hanusia przestała się bać i zaczęła o wszystko pytać. Dowiedziała się, że czarna deska — to tablica i że się na niej pisze kredą. A niebieska kula — to globus, taka na niby kula ziemska z lądami i morzami. A zwierzęta

są wypchane. Pani o nich opowiada na przyrodzie.

Hanusia nawet nie spostrzegła, kiedy się lekcja zaczęła. Bo pani opowiadała takie ciekawe rzeczy i tak wesoło, jakby tylko sobie z nimi rozmawiała. Potem pani spytała, kto umie jakiś wierszyk. Kiedy inne dziewczynki zadeklamowały, Hanusia też się odważyła. Powiedziała głośno i wyraźnie, jak ją mamusia nauczyła:

Pobiegnę na pola,
pobiegnę na łąki
po maki czerwone,
po chabry i dzwonki.

Uwiję wianeczek,
zaniosę do wioski
i złożę w kościele
u stóp Matki Boskiej.

Prócz kwiatów i serce
Jej oddam w ofierze,
za cały nasz Naród
pomodlę się szczerze.

Pani pochwaliła Hanusię i powiedziała, że mówiła bardzo ładnie. Marysia się do niej uśmiechnęła, a po lekcji nawet ją uściskała.

— Widzisz, jakaś ty odważna! — zawołała. I tak ślicznie powiedziałaś ten wierszyk. Naucz mnie go, dobrze? Zobaczysz, że niedługo polubisz naszą szkołę.

— Ja ją teraz już lubię — szepnęła Hanusia. — A ciebie lubię najwięcej...

MARIA PROKOPOWICZOWA



POWRÓT DO WARSZAWY

Julek zawsze najlepsze
wymyśla zabawy:
dzisiaj urządził powrót
ze wsi do Warszawy.

On był ojcem rodziny
a Krysieńka matką.
Najpierw zapakowali
lalczyne manatki,

potem zaprzągł dwa krzesła
do bryczki z foteli,
wsiadła Krysia z lalkami
i pieska też wzięli.

— Wio, wio, moje koniki,
podążajcie żwawo,
żeby bez nas nie odszedł
pociąg do Warszawy!

Stacja. Trzeba na bagaż
oddać kufry lalek,
potem kupić bilety
i usiąść w przedziale.

Śpią już lalki na ławkach,
będą spać do rana.
— A ty bądź konduktorem,
mamusiu kochana!

H. W. K.



Co tu dużo gadać: trudne to zadanie, gdy się po raz pierwszy dyżurnym zostanie. Pani każe, żeby gąbką zmyć tablicę. Z gąbki mleko cieknie, gdy ją mocno chwycę! Wycieram, jak mogę, twarz mam potem zlaną, a tablica jakby polana śmietaną.

Żeby nie bazgrali, trzeba chować kredę. A z tego powodu znów mam nową biedę. Ręce całe białe bielą wszystko wokół, a tu ktoś atrament wylał znowu z boku! Pędzę do woźnego. Proszę o ściereczkę,, by wytrzeć podłogę i mokrą ławeczkę. Ścieram, lecz te ręce, co to były białe, teraz są na czarno umazane całe.

Gdy na pauzie okno chcę otworzyć ładnie, już ktoś krzyczy:

— Baczność, bo doniczka spadnie!

I spadła nieboga, ten dar małej Janki... Płacze ona sama, płaczą koleżanki.

A co mam kłopotu, gdy starsze dryblasy
w czasie dużej pauzy nie chcą mi wyjść z klasy!
Tatusiu, mamusiu, kto z pomocą przyjdzie?
Całe moje szczęście, że to tylko tydzień!

J. CZARNECKA-FIEDLEROWA.

WAKACJE ZOSI

O, mylicie się bardzo, jeżeli myślicie, że Zosia mogła na wsi wieść próżniacze życie! Przecież co dzień musiała podlać, opleć grządki. Potem w pokoju lalek zrobić ład, porządki i jagódek uzbierać za ogrodem w lasku albo upiec dla lalek pyszne baby z piasku.

Przez dzień cały Zosieńka miała moc roboty! A tu lalkom wciąż w głowie grymasy i psoty:



Bobo czegoś kaprysi, pajac stroi fochy mała Dzidzia na drzewie rozdarła pończochy, Krakowianka zgubiła wstążki i korale. Miś niegrzeczny Zosieńki nie chce słuchać wcale! Krasnoludek poplamił nowy płaszczyk w błocie, a Murzynek majteczki rozerwał na płocie...

Trudno podczas wakacji znaleźć wolną chwilę, kiedy kto się dochował psotnych pociech tyle!

H. W. K.



PRZYGODA NA TARGU

— Nie jesteście zmęczeni? — pyta Jadzia.

— Nie, wcale!

— No to pójdziemy na hale. Muszę tam załatwić sprawunek dla mamy.

Przyszli do hali; przerwana rozmowa! Tu dużo ludzi, dzielnica handlowa. Zbyszek Hanię za rękę tu trzyma. Hałas, ścisk taki, że trudno wytrzymać. Tyle brzęku, tyle stuku! Dudnią ciężkie wozy po nierównym bruku, pełno wózków i handlarzy, pełno szarych, obcych twarzy. Jak gdyby do innego miasta się dostali.

Weszli nareszcie do targowej hali. Tu na straganach, na ladach sklepików wszelkich towarów bez liku: czapki, buciki, mięso i ryby, naczynia, grzyby, tu słonina i wędliny, tam owoce i jarzyny. A na tamtym straganie nabiał.

— Spójrzcie — woła Zbyszek — co to się wyrabia!

Dwie kupcowe w perukach do oczu sobie skaczą, jedna drugiej gęś wyrywa z gniewem i rozpaczą.



Dalej stragan z zabawkami: piłki lalki i książeczki.

— Niech panienka tu pozwoli, ja mam coś dla panieneczki! — mówi do Hani kupcowa cedząc słodziutkie słowa.

Hania Zbyszka puściła, do straganu podchodzi. Chyba to nic nie szkodzi? Obejrzała laleczkę, zabawnego pajaca i do Jadzi chce wracać. Ale — nie może jej znaleźć! Nie widać także Zbycha! Więc popłakuje z cicha. Biega w różne strony, woła. Ale taki zgiełk dokoła, że nikt nie zważa na dziecko płaczące. To ją koszykiem potrącą, to ktoś usuwa ją z drogi. Jest głodna, bolą ją nogi...

Więc płacze coraz głośniej. Mówi jedna gosposia:

— Jaki dzieciak nieznośny!

Lecz poczciwsza kobiecina dopytywać się zaczyna.

— Zgubiłam się, chcę do Jadzi. Niech mnie pani zaprowadzi!

— Nie mogę: do synka się śpieszę chorego. O, ale widzę posterunkowego! Ta mała, co płacze, to dziecko zbłąkane. W opiekę oddaję je panu.

Podszedł grzeczny policjant w błyszczącym mundurze.

— Jakże mogło się zbłąkać takie dziecko duże? Proszę przestać już płakać. Proszę dać mi rękę, a ja odprowadzę do domu panienkę. Jaki adres? Ulica jaka, numer domu?

Wstyd Haneczce, lecz płacze jeszcze po kryjomu.

— Zbyszek wie adres, on jest duży, ale... Ja sama z domu nie wychodzę wcale...

— Gdzie mieszka twoja mama?

— Mama? Tam, razem z nami...

Głośnym płaczem wybucha:

— Do Jadzi! Do domu!

Policjant zmarszczył czoło. Jakże jej dopomóc? Wziął za rękę, lecz Hania aż drży z przerażenia. Dokąd ją zaprowadzą, może do więzienia?

— Nie chcę, nie chcę, nie pójdę!

— Nie bójże się, cicho! A to kłopot mam z małą, to nieznośne licho! Nie płacz, ja cię prowadzę do komisariatu. Tam się po ciebie zgłosi mama albo tato.

Tymczasem Zbyszek z Jadzią patrzą: nie ma Hani! Biegają wśród straganów, srodze zatroskani. Wypytują przechodniów, chodzą tam, z powrotem...

— Może wpadła pod tramwaj? Trudno myśleć o tym! Może czeka przy wyjściu? Jeszcze raz zobaczę.

— Nie ma nigdzie! Zginęła — woła Zbych z rozpaczą.

Ledwo idzie zmęczony, z przestrachu aż blady. Zgnębiona Jadzia mówi:

— Znajdę na to radę. Spytam, gdzie komisariat. Chwilkę tu zaczekaj.

Weszła do sklepu. Nagle Zbych z daleka ujrzał beret Haneczki po przeciwnej stronie.

— Hanka! — krzyknął radośnie i zaczyna gonić. Wpadł na jakąś gosposię i przekupkę z koszem.

— Chłopcze! Uważać proszę!

Zbych nie patrzy, nie słucha. Pędzi jak zawierucha. Najtrudniej przejść przez jezdnię! Szybkimi krokami przebiegł jakoś szczęśliwie pomiędzy wozami. Ale tutaj zatrzymał go posterunkowy:

— Tak nie wolno przechodzić — zganił go surowo. — Tylko na rogach ulic jest przejście dla pieszych.

— Kiedy mi się tak śpieszy!

— Mogli ciebie przejechać. Tak iść nie należy. Innym razem zapłacisz karę, kawalerze!

Hania znikła mu z oczu... Znów pędzi jak strzała. Dogonił! Ach, jak Hania brata powitała... A Zbych czerwony, dysząc ze zmęczenia, mówi:

— Dziękuję panu. Do widzenia!

Policjant dłoń do czapki też przyłożył grzecznie, mówiąc:

— Dzieci swój adres winny znać koniecznie!

AL. KWIECIŃSKA.

ZEMSTA PLUSKWY



Nad strugą w lesie rosły maliny. Pośród nich stał wysoki, stary krzak leszczynowy. Ludzie wycięli z jego gałęzi niejedną tyczkę i biczysko. Niejeden ceber opasywała obręcz z jego prętów. Kiedyś malarz wędrowny wyciął kilka grubszych gałęzi. Spalił je na ognisku i węgielki powybierał. Mówił, że leszczynowymi węgielkami świetnie się rysuje.

A krzak rósł mimo to coraz bujniej i co roku bywał osypany pięknymi orzechami.

Do jednej takiej zrośniętej trójki orzechów dobrał się malutki czarny chrząszczyk.

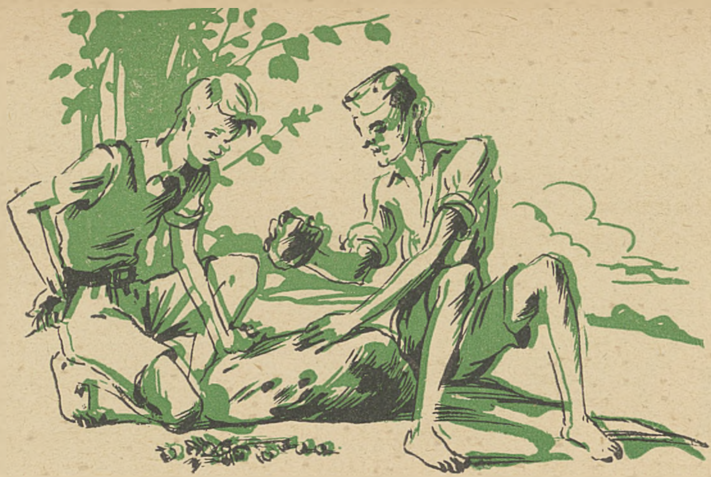
Był cały okryty szarożółtawym puszkiem. W ziemi, pod leszczyną, wykluł się z poczwarki i teraz wybrał się w podróż. Wylazł na jeden z orzechów, obmacał go łapkami. Przekonał się, że łupina nie jest jeszcze zanadto twarda, więc zabrał się do jej przekłuwania. Od czego miał długi, mocny ryjek!

Gdy tego dokonał, powiększył jeszcze otwór, złożył tam jajko i wepchnął je ryjkiem jak najgłębiej.

Nikt by się nie domyślił, że w orzechu zagnieździł się mieszkaniec. Wszystkie trzy orzechy dojrzewały jednakowo. Łupina drewniała, robiła się złotawa. A jednak tylko dwa miały zdrowe jąderka. W trzecim wylęgła się maleńka istota, która jąderko pożerała.

Jeżeli nikt orzecha nie zerwie, to na jesieni dobrze utuczona gąsienica wyjdzie z pustego orzecha i zakopie się w ziemię. A na wiosnę wykopie się na powierzchnię, przepoczwarzona w chrząszcza.

O, już idą dwaj uczniowie na wakacjach!



— Patrz no, Olek, tu są orzechy — zakrzyknął jeden.

Więc zaczęli zrywać orzechy, chociaż były jeszcze niedojrzałe. Potem siedli na trawie. Kładli orzechy na płaskim kamieniu, a drugim je łupali. Dzień był upalny, ale krzak leszczyny osłaniał ich troskliwie od słońca.

Trafili wreszcie na ten orzech, w którym siedziała gąsienica. Jąderko było przez nią zjedzone.

— Jaka wstrętna! — zawołał jeden z chłopców i rozmiażdżył ją kamieniem.

— Te szkodniki psują nam orzechy, a inne jabłka, śliwki i gruszki. Gdybyśmy ich nie tępili, co by nam zostało na zimę? — mówił drugi. — Dobrze, że nam i ptaki pomagają.

A krzak leszczynowy zatrząsł się z oburzenia.

— Ach ci łakomi ludzie — zaszumiał. — Wszystko chcą mieć dla siebie! Nie posadzili mnie, nie hodowali. Słońce mnie pielęgnuje, deszcz podlewa. A posiała mnie wiewiórka. Przyniosła sobie orzech na tę dużą jodłę, co rośnie nade mną. Coś ją spłoszyło, więc go upuściła. Z tego orzecha wyrosłem i teraz z wdzięczności chętnie karmię wiewiórki.

Chłopcy nie zrozumieli, co szumiała leszczyna. Ale usłyszała jej szum szaroczarna pluskwa, która u stóp leszczyny raczyła się malinami.

— Już ja się zemszczę — postanowiła. — Zawołam moje siostry i pospacerujemy sobie po najdorodniejszych malinach. Zobaczymy, czy je chłopcy potem będą chcieli jeść!

Leszczyna miała dobre serce i byłaby pluskwę zatrzymała, gdyby mogła. Zaszumiała:

— Nie rób tego! Tyle jest tu malin. Wystarczy i dla chłopców.

Ale mściwa pluskwa znikła już w gęstwinie malinowych gałązek.

Chłopcy przez chwilę odpoczywali w cieniu, rozmawiając o tym i owym. Potem wstali i mieli już odejść, gdy nagle dostrzegli maliny.

— Jakie duże! Jakie dojrzałe! — wołali z radością.

Zaledwie jednak Olek wziął jedną z nich do ust, zaczął gwałtownie spluwać.

— Oj, wstrętna! Pluskwą ją czuć!

— Masz pecha — roześmiał się jego kolega. — Moja będzie napewno świetna. Patrz: taka duża jak naparstek.

Lecz po chwili i on krzywił się i pluł...

Próbowali, próbowali — nie znaleźli ani jednej smacznej.

— Chyba do końca życia straciłem apetyt na maliny — powiedział Olek.

I poszli do domu.

A złośliwa pluskwa ukryta pod listkiem zachichotała z radości, że jej się tak zemsta udała. Krzak leszczyny nie dosłyszał nawet tego chichotu. Szumiał z cicha w słońcu, jak gdyby wszystkich zapraszał na ucztę, nie skąpiąc orzechów nikomu.

ANNA WAJDOWA



Uczennice Szkoły Powszechnej PP. Benedyktynek w Wilnie
w dniu przyjęcia do Krucjaty Eucharystycznej.

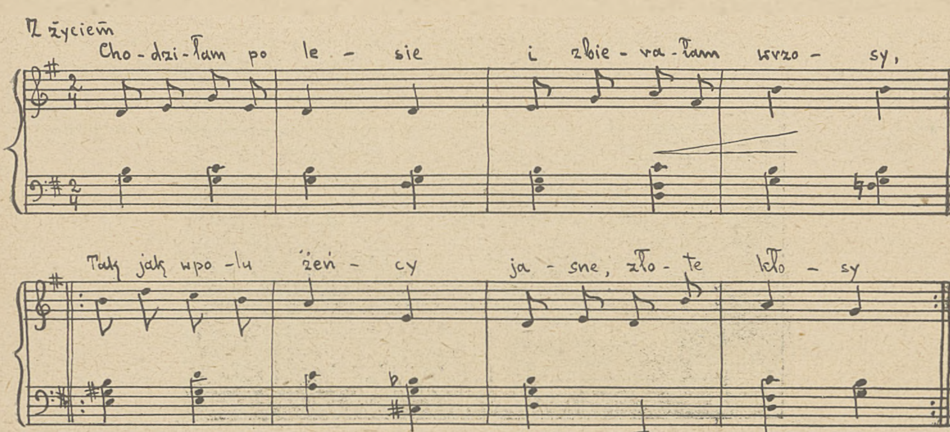


Chodziłam po lesie
i zbierałam wrzosy,
tak jak w polu żeńcy
jasne, złote kłosy.

Szukałam i grzybów.
Jeden znaleziony
czapkę miał trującą,
lecz jak mak czerwony!

Ot, tam jest borowik
i grzybów bez liku,
zamiast zbierać wrzosy,
będzie „on" w koszyku.

Słowa Z. KELUS-LIPKOWSKIEJ — Muzyka A. WIELHORSKIEGO



Zabawę tę można prowadzić w dwóch odmianach.

1) *Zabawa śpiewno-bieżna.* Wszystkie dzieci chodzą niby po lesie i schylając się naśladują rwanie wrzosów. Następnie stają w szeregu odwracając się plecami. Osoba kierująca zabawą przechodzi wzdłuż szeregu i dotyka jednego

z dzieci, tak że reszta dzieci nie wie, które zostało dotknięte; jest ono „borowikiem". Dzieci śpiewają piosenkę. Przy ostatnich słowach borowik ucieka. W końcu sali jest „gęstwina". Jeżeli do niej zdąży dobiec borowik, jest uratowany. Jeżeli zostanie schwytany przez które z dzieci, kierowniczka wybiera inne dziecko i zabawa zaczyna się na nowo.

2) *Zabawa wypoczynkowa.* Dzieci siedzą w kole. Jedno z nich wychodzi, a pozostałe wybierają spośród siebie borowika. Następnie dziecko, które wychodziło, staje w środku koła. Wszystkie dzieci śpiewają. Przy ostatnich słowach piosenki dziecko stojące w środku musi zgadnąć, które dziecko jest borowikiem i wskazać je palcem. Jeżeli nie zgadnie, wychodzi jeszcze raz. Jeżeli odgadnie, wówczas dziecko, które było borowikiem, wychodzi i zabawa zaczyna się na nowo.

W. PRZYSIECKA.

DRODZY PRZYJACIELE!

Dawna klasa I szkoły „Promień" w Wilnie prosi, żebym nadal pisywał do czytelników. Bardzo się ucieszyłem, że lubicie moje listy. Obaj z Cyganem miewamy się doskonale, czego i Wam życzymy. Czy wszyscy przeszliście do II klasy? Napiszcie o tym do mnie koniecznie!



„Świderki i Wiercipięty" w Wilnie przysłały taką ładną fotografię z dnia przyjęcia do Krucjaty Eucharystycznej, że poprosiłem panią redaktorkę, żeby ją wydrukowano w „Dzwonkach". Teraz tym bardziej chciałbym Was poznać osobiście.

Klasa II a Szkoły Powszechnej nr 1 w Jarocinie Poznańskim: Edmund Jackowiak, Konrad Walentowski, Alojzy Sobótka i Leon Górski. Kłaniam się pięknie i dziękuję za wesołe listy! Skoro lubicie figle, napewno doskonale bawilibyśmy się razem. Jaka szkoda, że Jarocin jest tak daleko od Psich Bud! Ciekaw jestem, jak Wam się będą podobały moje przygody w Krainie Czarów.

Ściskam Wasze łapki

FIGIELEK.

WARUNKI PRENUMERATY „DZWONKÓW"

	poj. egzemplarze	półrocznie	rocznie
w Polsce	20 gr	2.00 zł	3.60 zł
za granicą	30 gr	3.00 zł	5.40 zł
w St. Zj. Ameryki Pn. .	—	—	1,5 dol.

Na tych samych warunkach można zaprenumerować dwutygodnik dla dzieci wyższych klas szkół powszechnych p. t. „Młody Polak". Konto P.K.O. dla „Młodego Polaka" jest inne, a mianowicie: 11.044.

Prenumeratorom, zamawiającym naraz 10 lub więcej egzemplarzy jednego numeru, dodajemy 1 egz. bezpłatnie przy każdych opłaconych 10 egz.

Adres redakcji i administracji: Warszawa, Chmielna 58, Nr. telefonu redakcji i administracji: 6-93-65. Redaktorka przyjmuje w środy od godz. 17 do 19 i w soboty od godz 12 do 14. Rękopisów się nie zwraca. Administracja czynna codziennie od 12 do 13. Konto P. K. O. 13066.

Redaktorka: **Maria Niklewiczowa.** Wydawca: za Stowarzyszenie Chrześcijańsko-Narodowego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych — **Antonina Tyszkowska.**

Drukarnia Wzorowa — Warszawa, Długa 20, tel. 11-16-60.

FIGIEL W KRAINIE CZARÓW



Mrok zapada, deszcz na dworze,
więc Figielek w złym humorze.



Dzieci książkę odłożyły;
chwyta ją Figielek miły.



Książka śliczna, kolorowa!
Lew koronę ma na głowie,



na żyrafie mknie czarodziej,
a kot w butach sobie chodzi.



— Ach, jak chciałbym tam się dostać!
Na obrazku droga prosta...



Więc Figielek susa daje,
hop! Już jest w krainie bajek.

(D.c.n.)